

Wszyscy mają jakieś kompleksy. W minionym trzydziestoleciu polskie elity i media częściej pracowały nad wzbudzeniem i utwierdzeniem w Polakach kompleksów niższości niż nad pobudzeniem dumy z uzyskanych osiągnięć. Dziś, kiedy porzuciliśmy koncepcję społeczeństwa jako bariery modernizacji, nadal obserwujemy kompleks Zachodu w polskiej kulturze (wtórność, naśladownictwo, bezkrytyczność) czy gospodarce. A jak ta sprawa wygląda na polu nauki? Czy mamy kompleks Zachodu w nauce? Jeśli tak, to z czego on wynika, jakie ma podłoże? W czym się przejawia? Czy poczucie niższości wobec Zachodu jest uzasadnione? Jakie niesie konsekwencje? Co mogłoby nas wyprowadzić z tej sytuacji? A może istnieją pozytywne aspekty kompleksu niższości? Jak to było w czasach PRL i co się zmieniło po przewrocie politycznym 1989 roku? Tym sprawom poświęcamy cykl tekstów w „Forum Akademickim”. Chcemy przedstawić naszym Czytelnikom sytuację w różnych dyscyplinach naukowych.

Redakcja

Wojciech Rypniewski

Wychodzimy z kompleksów

Jesteśmy na dobrej drodze, bo wyrastamy z biedy, a bagaż kompleksów wyniesiony z PRL-u też z czasem zostawiamy za sobą. Stopniowo odchodzimy od stereotypu Polaka biednego, ale obrotnego, który wszędzie się wkręci.

Z perspektywy ostatnich kilku dziesięcioleci prostą miarą sukcesu polskiej nauki może być stopień, w jakim udało się odrzucić bagaż PRL-u i dołączyć do krajów rozwiniętych. Podobnie też oceniamy inne dziedziny życia w Polsce. PRL zostawił nas w trudnej sytuacji materialnej i w bolesnej świadomości problemów, które przeszkadzały nam w tym, „żeby było jak na Zachodzie”. Mogę od razu przejść do konkluzji, że nie powinniśmy mieć kompleksu Zachodu, bo niczego nam nie brakuje, a nasze trudności wynikały ze złych warunków, jakie mieliśmy, żyjąc za „żelazną kurtyną”, pod rządami komuny. Mimo że, obiektywnie rzecz biorąc, nie powinniśmy mieć kompleksów, to lata upokarzającej mizerności zostawiły jakieś piętno, szczególnie w pokoleniu, które doświadczyło tamtych czasów. Przynajmniej takie jest moje zdanie. Natomiast młodzi nie mają już powodu do jakichkolwiek kompleksów, bo ich lata formacyjne przypadają na czas stosunkowo dobrych warunków do rozwoju.

Komuna poczyniła wiele szkód w nauce polskiej, podobnie jak w innych dziedzinach życia w kraju. Psuto standardy i dezintegrowano społeczność akademicką, wprowadzając do środowiska „docentów marcowych” i innych nominatów z nadania partyjnego. Z drugiej strony prześladowano naukowców wybitnych a niewygodnych dla reżimu, jak choćby genialnego Jana Czocharalskiego, o którym pamięć przywracana jest dopiero w ostatnich latach. Wyrzucano z uczelni niepokornych pracowników i studentów. Niektórzy z nich byli jednak przygarniani przez inne placówki. Była to swoista zabawa w kotka i myszkę. Środowisko akademickie próbowało bronić się przed komunistyczną barbarią. Instytucje akademickie były jednak intensywnie infiltrowane przez konfidentów SB. Wiele akt zniszczono, a z tego co przetrwało, większość do dziś leży niezbadana w archiwach IPN. Pobieźny ogląd pokazuje jednak, że w instytucjach naukowych roiło się od tajnych współpracowników (TW) i kontaktów operacyjnych (KO). Ich pseudonimy

pozostają nierozszyfrowane, poza nielicznymi wyjątkami. Środowisko naukowe przeszło do porządku dziennego nad nieprzychylnymi aspektami przeszłości i tylko nieliczni naukowcy chcą wiedzieć, kto kryje się za pseudonimami esbeckich donosicieli w ich gronie. Ludzie, którym SB pomagała w karierze, bo donosili na swoich kolegów, przeszli gładko do nowej rzeczywistości, ramię w ramię z ofiarami swoich donosów, wychowując młodzież i kształtując przyszłe elity.

Zatem nie dość, że polska społeczność naukowa wyszła z komuny osłabiona, to jeszcze poniosła w przyszłość haniebną balast tamtego reżimu. Problem dotyczy nie tylko środowiska naukowego, ale całości polskich elit. W jednym ze swoich ostatnich wywiadów Zbigniew Herbert powiedział: „Wielu z nas sądziło, że po roku 1989, choć nie zbudujemy od razu raj na ziemi, to przynajmniej otrząśniemy się z dawnego kłamstwa. Nie było to możliwe, ponieważ ludzie elit nie stworzyli języka prawdy”.

Dystans do Zachodu się powiększał

Wielkie dysproporcje w warunkach pracy i w zarobkach sprawiały, że wielu polskich naukowców próbowało wyjechać na Zachód na stałe albo chociaż na trochę. Nawet kilkumiesięczny staż za granicą pozwalał powiększyć osobisty dorobek naukowy na tyle, że po powrocie do kraju można było nawet szybko zdobyć profesurę, nie mówiąc już o tym, że zaoszczędzone „dewizy” pozwalały w kraju na zakup mieszkania albo przynajmniej na remont. W sytuacji, kiedy polskie zarobki wynosiły w przeliczeniu kilkadziesiąt dolarów miesięcznie, warto było, będąc nawet na krótkim stażu na Zachodzie, oszczędzać każdego centa.

Dysproporcje między naszym krajem a Zachodem nie mogły się nie odbić na samoocenie polskich naukowców. Koledzy, którym udało się „zostać na Zachodzie” i zdobyć

tam stabilną posadę, uważani byli za ludzi sukcesu. Stosunkowo wysoką estymą cieszyli się też ci polscy naukowcy, którzy nawiązali osobiste kontakty z naukowcami na Zachodzie, najlepiej w Ameryce, i byli zapraszani do tamtejszych laboratoriów, dzięki czemu mogli „jeździć na Zachód”. Po powrocie do kraju, przed kolejnym wyjazdem można było uporządkować przywiezione wyniki, przygotować publikację i rozmyślać o przyszłej pracy, bo na miejscu często nie można było prowadzić jakichkolwiek sensownych badań.

Takie warunki kształtowały polskich naukowców w czasach PRL-u i jeszcze trochę później. Do dziś wśród starszego pokolenia bardzo cenione są staże zagraniczne w USA, podczas gdy młodzi naukowcy często wolą odbyć staż „gdzieś nie aż tak daleko”. Nawet w polskim prawie, wśród nazbyt szczegółowych kryteriów oceny habilitantów, znalazł się wymóg odbycia stażu zagranicznego, co oznacza, że pobyt w jakiegokolwiek, nawet trzeciorzędnej uczelni zagranicznej jest bardziej ceniony niż staż nawet na najlepszej polskiej uczelni czy w instytucie naukowym.

Pod rządami komuny dystans do Zachodu powiększał się z biegiem lat i nauka polska wyszła z PRL-u zapóźniona i tragicznie niedofinansowana. Jedno z drugim jest oczywiście ściśle powiązane. Bardziej tradycyjne i mniej kosztochłonne dziedziny nauk doświadczalnych, jak np. chemia, utrzymały się na wyższym poziomie niż kierunki, które powstały dopiero w okresie powojennym. Natomiast najnowsze technologie, jak na przykład inżynieria genetyczna, która na Zachodzie zrewolucjonizowała badania biologiczne, były w czasach komuny w Polsce praktycznie nieobecne. W archiwach IPN zachowały się teczki operacyjne polskiego naukowca (<https://inwentarz.ipn.gov.pl/advancedSearch?q=zungo&page=1>), który wyjechał na staż do USA i jako współpracownik służb PRL wykradł z laboratorium swoich amerykańskich gospodarzy zmodyfikowane szczepy bakterii, które w amerykańskich laboratoriach były już wykorzystywane rutynowo, podczas gdy w krajach „demokracji ludowej” nie było jeszcze takich narzędzi. Wykradzione komórki bakteryjne zostały przemyczone do Polski „początkowo kaptanką”, a następnie przekazane potajemnie służbom sowieckim. Polscy naukowcy nie mieli z tego żadnego pożytku.

Wracali z nowymi metodami

To było w latach osiemdziesiątych. W latach późniejszych nowe biotechnologie były już dostępne, ale w Polsce przyjmowały się z pewnym opóźnieniem i nierównomiernie. Niektóre grupy badawcze szybko przyswajały nowinki, inne trzymały się swoich wcześniejszych projektów i tradycyjnego instrumentarium. Nowe metody i narzędzia były transferowane do kraju głównie przez młodych badaczy wracających ze staży zagranicznych. Otwierało to zupełnie nowe możliwości wyboru i zgłębiania tematów badawczych. Początkowo problemem był też koszt i dostępność zaawansowanych materiałów do badań. Poznałem wówczas grupę młodych, ambitnych biologów, którzy w swoim laboratorium w Gdańsku identyfikowali i oczyszczali nowe enzymy restrykcyjne, czyli podstawowe narzędzia inżynierii genetycznej. Produkowali je w ilościach komercyjnych, a następnie wymianą barterową pozyskiwali od zachodnich firm biotechnologicznych inne potrzebne im preparaty.

Jeżeli chodzi o informatyzację, to popularne komputery typu PC pojawiły się w Polsce dość wcześnie, podobnie jak Internet, chociaż ze względu na cenę były sprzętem dość luksusowym. Natomiast bardziej wydajne komputery, zwłaszcza te z szybkimi kartami graficznymi, objęte były embargiem i nie wolno ich było wwozić do państw Układu Warszawskiego. Trzeba było różnych pomysłowych zabiegów, żeby taki przestarzały i niechciany już gdzie indziej sprzęt przywieźć do kraju. Dużo rze-

czy wówczas trzeba było „załatwiać”. Słowo „załatwiać” nie ma adekwatnego odpowiednika w języku angielskim i nasza umiejętność „załatwiania” spraw była dowodem polskiej zaradności i sprytu. Z drugiej strony było to upokarzające przed naszymi zachodnimi kolegami, którzy patrzyli na te zabiegi z życzliwością, ale i politowaniem.

Wychodzenie z PRL-owskiej zapaści trwało dwie dekady i związane było z różnymi problemami przejściowymi.

Starszemu pokoleniu naukowców należy oddać to, że przyniosło „kaganek oświaty” przez ciemne dekady komuny. Dzięki temu nasz system uprawiania nauki i kształcenia młodych pokoleń, który od wieków był osadzony w tradycji cywilizacji zachodniej, przetrwał niszczycielskie czasy komunistycznego reżimu. Było więc na czym budować, gdy wróciła możliwość rozwoju.

Trzy obszary

Jeżeli chodzi o budowanie, to trzeba zaznaczyć, jak ważna w nauce jest relacja mistrz-uczeń. Dlatego zarówno pozytywne, jak i mniej pozytywne wzorce przechodzą z pokolenia na pokolenie. Sprawia to, że w czasach przeobrażeń ich tempo jest zróżnicowane, zależnie od inicjatywy wykazywanej przez lokalnych liderów. Także w czasach komuny były jednostki i środowiska mniej albo bardziej wyróżniające się pod względem dynamiki i poziomu uprawianej nauki, ale w czasie od końca PRL-u zróżnicowanie zaszło dalej niż kiedykolwiek. Doprowadziło to do sytuacji, w której mamy już oficjalny, prawnie usankcjonowany podział na uczelnie bardziej i mniej akademickie. Słusznie bądź niesłusznie. Moim zdaniem naukę tworzą naukowcy, nie instytucje, więc najsensowniej jest oceniać indywidualnych badaczy. Natomiast kategoryzowanie instytucji według coraz bardziej zawiłych algorytmów nie prowadzi do niczego sensownego, a tylko do coraz bardziej zawiłych algorytmów.

Nie wdając się w żadne algorytmy, pozwolę sobie zauważyć w nauce polskiej trzy obszary: pierwszy – elitarny i wolny od obciążeń, drugi – dobry, ale obciążony słabościami systemu, i trzeci – niespełniający wymagań współczesnej nauki, ale egzystujący dzięki słabościom systemu.

Pierwszy obszar to instytucje i zespoły badawcze, w których dominują ambitni badacze zdobywający dużą część wciąż bardzo niewielkich funduszy krajowych. Dlatego, mimo ogólnego niedoinwestowania nauki w Polsce, nie brak im pieniędzy na badania, a ich laboratoria są świetnie wyposażone. Wielu tych badaczy pracuje w instytutach naukowych, więc mogą się skupić na badaniach, ale na uczelniach też istnieją grupy badawcze, którym udaje się godzić badania z dydaktyką. Bardzo dobry dotychczasowy dorobek tych naukowców uwiarygadnia ich w oczach recenzentów, którzy decydują o przyznaniu im dalszych funduszy. Te grupy badawcze działają jak dobrze naoliwione mechanizmy. Co najważniejsze, kierownicy takich zakładów promują swoich młodych następców w podobnym duchu. Nie ma tam kwestii jakiegokolwiek kompleksów, nie ma mowy o „gonieniu Zachodu”, nie ma tęsknego porównywania się do zagranicy, w ogóle nie ma takich dyskusji, bo po prostu nie ma tam dystansu do rozwiniętych części świata. Może być współpraca z zagranicą, o ile rzeczywiście pasuje do profilu prowadzonych badań.

Tuż za tą elitarną grupą jest spora rzesza naukowców i grup badawczych, którzy radzą sobie dobrze mimo obciążeń systemowych, z jakimi muszą sobie jakoś radzić. Kierownicy tych grup rozumieją potrzebę wykazywania się znaczącym dorobkiem. Wybierają projekty pozwalające osiągać wyniki, które można opublikować w przyzwoitych czasopiśmie. Zwykle udaje im się też zdobywać granty na badania. Trudno wymagać więcej, zważywszy na warunki, w jakich pracują ci badacze, bo

trzeba pamiętać, że większość polskich naukowców to pracownicy uczelni, którzy oprócz pracy badawczej są mocno obciążeni dydaktyką. Można wręcz powiedzieć, że w systemie panującym na polskich uczelniach dydaktyka jest podstawową racją bytu, a badania są na drugim miejscu. Ilość czasu i starań, jakie pracownik uczelni znajduje na pracę badawczą, zależy w dużej mierze od jego osobistej determinacji. Polscy naukowcy pracujący na uczelniach mają prawo czuć, że nie są doceniani jako naukowcy i z zazdrością patrzy na swoich kolegów po fachu pracujących w instytutach naukowych i na naukowców za granicą, gdzie panuje równowaga między badaniami a dydaktyką.

Obecny stan rzeczy na polskich uczelniach jest skutkiem ich wielkiej ekspansji w okresie po PRL-u. Od razu należy zaznaczyć, że był to rozwój ilościowy, nie jakościowy. Celem i chlubą kolejnych ministrów nauki i szkolnictwa wyższego było zwiększanie wskaźników procentowych młodzieży na studiach. Zwiększano dotacje dla uczelni, przy czym ich wysokość zależała od liczby studentów. Uczelnie zwiększały nabór, bo „pieniądze szły za studentem”. Powstały też liczne prywatne uczelnie, które chętnie przyjmowały na studia płatne kandydatów, którzy nie dostali się na studia dzienne na uczelniach państwowych. Państwowe uczelnie też postanowiły walczyć o kandydatów, którzy nie dostali się u nich na studia dzienne, więc równoległe do studiów dziennych rozszerzały studia zaoczne. Aby zwiększać nabór w tak dużym stopniu, konieczne było obniżenie wymagań stawianych kandydatom, aby każdy chętny, byle zdał maturę, mógł znaleźć sobie miejsca na jakiejś uczelni. Tak też się stało. Zniesiono egzaminy wstępne na studia, a następnie obniżono wymagania stawiane maturzystom. Wystarczy uzyskać 30% punktów, aby zdać maturę. W szkole taki procent zwykle oznacza ocenę niedostateczną. Liczba nauczycieli akademickich nie zwiększyła się odpowiednio do rosnącej liczby stu-

dentów. Musiało się więc zwiększyć obciążenie dydaktyką. Pojawiła się też patologiczna w swej skali wieloletowość nauczycieli akademickich, wynikająca z tego, że prywatne uczelnie potrzebowały na swojej „liście płac” określonej liczby profesorów, aby móc nadawać stopnie naukowe.

Ta bezprecedensowa inflacja szkolnictwa wyższego nie mogła nie odbić się na standardach akademickich, na społecznej ocenie szkolnictwa wyższego, a zapewne i na samoocenie pracowników akademickich. Z jednej strony wzrosły płace pracowników naukowych i pojawiły się możliwości dorobienia sobie na dodatkowych, często mało wymagających etatach. Drugą stroną medalu było przesunięcie nacisku z badań na dydaktykę, przy jednoczesnym obniżeniu standardów akademickich. Skoro główną racją bytu uczelni stała się masowa produkcja dyplomantów, trudno, żeby nie odbiło się to na prowadzonych tam badaniach. Zapewne odbiło się to też na morale naukowców i estymie, jaką darzą swoje instytucje. Niską samoocenę potwierdzają międzynarodowe rankingi, w których polskie uczelnie zajmują dalekie miejsca. Najlepsze pojawiają się w czwartej czy piątej setce. Zupełnie pomijane w tych doniesieniach jest stosunkowo wysokie miejsce instytutów PAN, które w rankingach ujęte są zbiorczo. PAN figuruje kilkaset miejsc przed najlepszymi polskimi uczelniami. Stosunkowo niska pozycja polskich uczelni w rankingach światowych nie znaczy, że polscy naukowcy są w jakiś sposób gorsi od zagranicznych kolegów. Pokazuje tylko, że rezultaty zależą od celów jakie sobie stawiamy. Jeżeli stawiamy na masową dydaktykę, to skutkiem będą miliony dyplomantów raczej niż przełomowe odkrycia naukowe.

Spokojne przystanie i koła ratunkowe

Trzeci, ostatni, obszar polskiej nauki, na jaki chcę zwrócić uwagę, jest problematyczny. To ta część środowiska, która nie



spełnia wymagań współczesnej nauki. Wychodzenie z PRL-owskiej mizerności wymagało przyspieszenia i zmian w sposobie działania. Od początku można było obserwować różne prędkości wychodzenia z bloków startowych. Różnice były widoczne na poziomie indywidualnym, na poziomie grup badawczych i w skali całych instytucji. W ostatniej kategoryzacji 15% wydziałów uczelnianych i instytutów badawczych (czyli tych rządowych, nie PAN-owskich) zostało sklasyfikowanych w kategorii C. Oznacza to obciążenie funduszy statutowych, co stawia te instytucje w jeszcze gorszej sytuacji, przypominającej wegetację. Ze względu na duże zróżnicowanie poziomów rządzący dzielą uczelnie na bardziej i mniej akademickie, zależnie od wyników kategoryzacji. Słysz się też o „nadmiernym rozproszeniu” i konieczności łączenia uczelni i niektórych instytutów, czy o potrzebie reform wciąż niezreformowanych instytutów badawczych. Są to jednak działania dość nieśmiało i odkładane w czasie. Polacy bardzo nie lubią rozwiązań radykalnych. Nie lubią kontrowersji i unikają sytuacji, gdy jedni wypadają lepiej, a inni gorzej. Wolą „święty spokój”. Także na poziomie lokalnym osoby stojące na czele instytucji naukowych niechętnie wyciągają konsekwencje wobec pracowników niewykazujących się twórczą aktywnością. Szukają dla nich „spokojnej przystani”, na przykład na stanowiskach technicznych, niepodlegających ocenie pod kątem aktywności naukowej.

Swój kołem ratunkowym dla najmniej twórczej części polskiego środowiska naukowego jest polski rynek wydawnictw naukowych, obfitujący w czasopisma, które chętnie publikują prace niekwalifikujące się do publikacji gdziekolwiek indziej. Zaznaczam, że piszę o naukach ścisłych i przyrodniczych, które charakteryzują się tym, że są uniwersalne, podczas gdy nauki humanistyczne, jak polonistyka, mogą mieć wymiar lokalny. Humanistyka wymaga osobnego podejścia. Jeżeli jednak chodzi o nauki uniwersalne, to polski biolog może równie łatwo dyskutować z biologiem argentyńskim czy chińskim, jak ze swoim polskim kolegą. W tej dyskusji używa języka uniwersalnego, jakim dziś jest angielski. Rynek wydawniczy dla nauk ścisłych i przyrodniczych uległ globalizacji. Zatem, o ile nie trudno zrozumieć, dlaczego polonista publikuje w czasopiśmie o zasięgu krajowym, to nie ma powodu, dlaczego biochemik nie miałby publikować w czasopiśmie o zasięgu globalnym. Miarą osiągnięć badacza jest to, czy potrafi przebić się z wynikami badań do renomowanych czasopism międzynarodowych.

Innym ważnym testem jest to, czy i jak często jego publikacje są cytowane przez innych autorów. W czasach PRL-u problemy z prowadzeniem badań w kraju sprawiały, że trudno było badaczom krajowym publikować w prasie międzynarodowej. Często więc publikowano w czasopiśmie krajowym o znikomym zasięgu, gdzie można było publikować nawet bez recenzji. Dziś nadal mamy wiele takich czasopism i autorów publikujących tam artykuły. Czasopisma te nie są notowane w międzynarodowych indeksach czasopism naukowych, a zawarte w nich artykuły nie są zauważane na świecie. Za to ministerstwo dowartościowuje wiele z nich tzw. punktami ministerialnymi. Służy to sporej rzeszy naukowców, dla których Zachód ze swymi międzynarodowymi czasopismami pozostaje poza zasięgiem. Mogą za to ciuć „punkty ministerialne”, publikując „u kolegi”. Nie muszą nawet wiele badać, bo zawsze można pisać „prace przeglądowe”. Najbardziej produktywni wśród takich autorów potrafią przegonić w punktacji kolegów prowadzących ambitne badania i publikujących w renomowanych czasopiśmie międzynarodowych.

Pływanie w kisielu

Mamy zatem dwa bieguny. Z jednej strony naukowców, którzy wykorzystują możliwości konkurowania z najlepszymi i robią to z powodzeniem. Z drugiej strony mamy tych, któ-

rzy wyzwania współczesnej nauki omijają raczej niż je podejmują. Jeżeli ktokolwiek miałby czuć kompleksy wobec Zachodu, to właśnie oni. Pomiędzy tymi biegunami jest zdecydowana większość polskiej nauki. Jak napisałem powyżej, jest to ta część, która próbuje radzić sobie mimo obciążenia systemowych. Znany publicysta porównał taką sytuację do pływania w kisielu. W kisielu da się pływać, ale każdy ruch wymaga większego wysiłku niż pływanie w wodzie. To w tym obszarze tkwi największy potencjał rozwojowy polskiej nauki. Biorąc pod uwagę suche liczby, w porównaniu z Zachodem wypadamy nie najlepiej, ale żeby takie porównanie miało sens, musimy uwzględnić warunki, w jakich pracują naukowcy, zwłaszcza na uczelniach, oraz środki, jakimi dysponują naukowcy w Polsce i na Zachodzie. Należy wziąć pod uwagę, że inwestujemy w naukę dużo mniej nie tylko niż kraje rozwinięte, ale także mniej niż kraje na porównywalnym do nas etapie rozwoju. Na badania przeznaczamy niewiele więcej niż czterokrotnie mniejsze od nas Czechy (Według danych Banku Światowego Polska przeznacza na R&D 0,94% PKB, a Czechy 2,0%. PKB Polski szacuje się na 596 mld USD, a Czech na 251 mld USD – dane z 2019 roku. Zatem Polska przeznacza na R&D niespełna 6 mld USD, a Czechy 5 mld USD). Jeżeli weźmiemy pod uwagę wysokość naszych grantów, można nawet dojść do wniosku, że polscy naukowcy w większości bardzo dobrze gospodarują dostępnymi środkami. Krytykom można powiedzieć, że tak krawiec kraje, jak materii staje.

Czy mamy powód do kompleksów? Wręcz przeciwnie: powinniśmy być bardziej asertywni. A mamy w tym zakresie jeszcze spore zaległości. Od czasu do czasu ogólnopolskie media donoszą z dumą, że polscy naukowcy wzięli udział w jakichś przełomowych badaniach. Najczęściej oznacza to, że byli uczestnikami programu kierowanego przez kogoś z zagranicy. Chciałbym częściej słyszeć, że to polscy naukowcy kierują międzynarodowym zespołem badaczy. Czy dobrze wykorzystujemy swoje szanse ku temu? Chyba jeszcze nie. Przypomina się historia polskich przyrodników (mniejsza o szczegóły), którzy natrafili na sensacyjne znalezisko na terenie Polski, po czym zwrócili się do zagranicznego eksperta, żeby został autorem korespondencyjnym ich publikacji. Praca ukazała się w „Nature”, z czego należy się cieszyć. Ale dlaczego ci polscy badacze nie opublikowali wyników samodzielnie? Może zabrakło odwagi, może był inny powód.

W każdym razie wypada życzyć polskim naukowcom, aby śmiało i skutecznie zajmowali należne im miejsce w nauce światowej. Jesteśmy na dobrej drodze, bo wyrastamy z biedy, a bagaż kompleksów wyniesiony z PRL-u też z czasem zostawiamy za sobą. Stopniowo odchodzimy od stereotypu Polaka biednego, ale obrotnego, który wszędzie się wkręci. Po co więc płacić składki członkowskie w międzynarodowych instytucjach naukowych, skoro Polacy i tak są tam obecni i jakoś sobie radzą? Bo jesteśmy zaradni, bo nas cenią, bo nas lubią. Po co budować wielkoskalową infrastrukturę badawczą w Polsce, skoro można pojechać do Berlina, do Hamburga czy do Lund, a tam pozwolą nam skorzystać z ich aparatury za darmo? Na szczęście chyba porzucamy już takie podejście, a państwo polskie coraz lepiej wspiera polskich naukowców pracujących za granicą. Od 2012 roku Polska jest pełnopłatnym członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), od 2019 roku jest członkiem Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej (EMBL). I zbudowaliśmy nasz własny, polski synchrotron, mimo początkowo licznych głosów: „Po co synchrotron w Krakowie, skoro jest w Berlinie?”

*Prof. dr hab. Wojciech Rypniewski, biochemik, biofizyk,
Instytut Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu*